

Wyreżyserowany spektakl – Obama w Moskwie

8 lipca 2009

Nie widać spontaniczności podczas wizyty prezydenta Stanów Zjednoczonych, Baracka Obamy, w Rosji. Wszystkie akty tej wizyty wglądają na wcześniej zaplanowane. Oświadczenia są stonowane – albo to zaakcentowanie wcześniej już ustalonych rzeczy albo dyplomatyczny bełkot.

Politycy potrzebują takich wydarzeń, bo poza rządzeniem, muszą dbać również o swoją popularność. Barack Obama umie i lubi przemawiać, dlatego Moskwa jest dla niego idealnym miejscem na przedstawienie. Nowy prezydent ma tylko jedno zadanie – nie dać się ograć. Miedwiediew też raczej nie będzie dążył do rewolucyjnych decyzji. Trwa sondowanie, pierwsze pionki poszły w ruch.

Barack Obama oficjalnie ogłosił, że zrezygnuje z tarczy antyrakietowej, jeśli nie będzie problemów z programem atomowym Iranu. Ktoś mógłby pomyśleć – to jest przełom! To jest wydarzenie!

Może i ma to znaczenie, ale ta informacja w żadnym przypadku nie jest przełomowa, ani – co ważniejsze – nowa. Już kilka miesięcy wcześniej, w Pradze, mówił o tym ten sam prezydent Obama. W rozumowaniu amerykańskim jest przy tym jedna niespójność. A co z Koreą Północną, która teoretycznie już byłaby w stanie zaatakować wschodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych? Przed nią już się nie trzeba bronić? Czy, racjonalnie rozważając, Kim Dzong Il nie jest większym zagrożeniem niż Islamska Republika Iranu? W kontekście rezygnacji z tarczy wymieniony został tylko Iran, bez Korei. W dyplomacji takie szczegóły odgrywają duże znaczenie, dlatego Obama oficjalnie potwierdził, że jeżeli „zrobicie do cholery coś z tym Iranem, to my pożegnamy się z tarczą”. Kosztem

wystawienia swoich sojuszników, w tym Polski.

Rodzi się przy tym kolejna wątpliwość. Czy Obama używa Teheranu z nadzieją na deal, czy to zasłona dymna mająca wytłumaczyć budowę tarczy i zrzucić winę za niepowodzenie rozmów na Rosjan? Kwestia oceny amerykańskiej tego, ile Moskwa może w Teheranie. Jeśli jest w stanie wpłynąć na ajatollahów, to jest realna propozycja dealu. Jeżeli nie może, to balonik wypuszczony w powietrze, z którym Rosjanie będą mieli duży problem. Trudno bowiem oczekiwać, by Amerykanie zrezygnowali z tarczy antyrakietowej za np. obeitnicę próby wpłynięcia na Iran. Strategia amerykańska nie jest taka głupia, na jaką wygląda.

Wyobraźmy sobie sytuację, że Rosja chce wpłynąć na program atomowy Iranu, a nie może. Cóż to byłaby za prestiżowa klęska Miedwiediewa i Putina. Obaj o tym wiedzą i na przehandlowanie Teheranu zgodzą się tylko wtedy, gdy będą pewni swoich sił. Rosja ma potężne narzędzie wpływu na ajatollahów – jest współsponsorem ich programu atomowego. Być może jednak Persowie doszli już do takiego punktu, w którym poradzą sobie sami, a i okazać się może, że Chińczycy są również skorzy do współpracy. Tutaj pojawia się miejsce dla „change w sprawie Iranu”.

Administracja amerykańska, jak nie kijem, to marchewką, może przekonać Teheran. Tym bardziej, że sytuacja gospodarcza tego państwa jest – delikatnie mówiąc – nie za wesoła. Sympatycznie jest mieć program atomowy, ale bez rozwoju gospodarki, żadne państwo nie rozwinie się do pozycji prawdziwego mcarstwa. Iran potrzebuje modernizacji gospodarki. Jest zresztą krajem o niesamowitym potencjale. Obama zostawił sobie tę furtkę otwartą.

Obama z Miedwiediewem rozmawiali również o Gruzji. Tutaj nie przypuszczałbym, aby interesy Waszyngtonu i Moskwy były zbieżne. Jeżeli Amerykanie patrzą realistycznie na rzeczywistość, nie przehandlują, ani nie sprzedadzą Gruzji.

Nie pozbywa się czegoś, co jest bezcenne. Mam na myśli położenie geograficzne Gruzji, ale również Ukrainy. Można przy tym jednak porozumieć się do tego, że Michaił Saakaszwili nie jest najlepszym prezydentem, jaki może zasiadać w Tblisi.

Zadaniem Baracka Obamy powinno być potwierdzanie, że Rosja ma prawo do bliskich kontaktów z tymi państwami, ale robienie czegoś absolutnie odwrotnego – dolarowej rewolucji. Nikt nie zakazuje Moskwie kontaktów polityczno-gospodarczych z żadnym państwem, ale niech to odbywa się ze wzajemną korzyścią.

Żądania Rosjan, by Amerykanie potwierdzili, że nie rozszerzą NATO o państwa WNP jest typową zagrywką pod publiczkę. Już kiedyś podobno istniała taka obietnica – dotycząca państw byłego bloku wschodniego. Nie została dotrzymana.

Przypuszczam, że dotyczy to również – a może przede wszystkim – Ukrainy i Gruzji (która już w WNP nie jest). Rosja chce ponownego uznania swojej strefy wpływów. Myślenie rodem z dawnych lat zimnej wojny. Jeżeli Obama da się sprowokować do dzielenia tortu, to przegra. Rosja nie ma aktualnie pozycji, która pozwalałaby jej dyktować warunki. Gruzja i Ukraina w NATO to wizja, nie wiadomo na ile realna, ale krępowanie sobie rąk uzgodnieniami z Moskwą, byłoby aktem totalnej nieodpowiedzialności.. Przedmiotowe traktowanie tych państw nie jest właściwe. Ukraińcy i Gruzini mają prawo sami decydować o swoim losie. Jeśli państwa te miałyby polityków z prawdziwego zdarzenia, to ich celem powinna być pozycja Azerbejdżanu, który ze wszystkimi robi interesy.

Listkiem figowym całej wizyty będą porozumienia w sprawie rozbrojeń i zgoda na tranzyt do Afganistanu. Były to umowy uzgodnione już dużo wcześniej, ale przygotowane do ogłoszenia celowo w czasie gościny Obamy w Rosji. Prezydent Stanów Zjednoczonych nie może wyjechać z niczym, a Miedwiediew może się chwalić, że nadal rozmawia z Amerykanami niczym Stalin czy Chruszczow – na równych zasadach.

Na razie mamy do czynienia z propagandą i potwierdzeniem wcześniejszych postulatów lub żądań. Niewykluczone jednak, że zaplanowana jest jakaś bomba, którą później obaj prezydenci będą mogli rozreklamować. Wizyta Obamy jest ważne, bo dużo łatwiej być prezydentem Stanów Zjednoczonych mając dobre stosunki z Rosjanami. Rozbieżności są ogromne, ale są też wspólne interesy. Rosjanie potrzebują poczucia tego, że są imperium.

Do przerwy 0:0.

Autor: Patryk Gorgol

Źródło: [Kącik Dyplomatyczny](#)